

Hysteria

Checkpoint

(Sir)Emil Gieras



Graphics by gloomy

Hysteria is everywhere

Ciemność. Nic nie widzę. Nie, zaraz. Jest jakieś światło. Widzę kształty. Z mroku wyłaniają się meble okryte cieniem. Strach. Oddycham szybko, głośno. Za głośno. W rękach ściskam energetyczny pistolet z przymocowanym zębatym bagnetem. Pot cieknie po skroniach. Gdzie jestem? Co tu robię? Wzrok przyzwyczaja się do ciemności. Widzę coraz więcej. Jestem w pomieszczeniu z metalowymi regałami. Stoję między nimi. Co to jest? Magazyn? Może jakaś komórka, składzik? Nie jestem pewien. U sufitu dynda goła żarówka. Nie daje za dużo światła. Nieustannie mruga. Panuje nieporządek. Na półkach i na podłodze walają się śmieci; jakieś papiery, stare gazety, potłuczone słoiki, narzędzia. Słyszę chrobotanie! Coś sunie ku mnie! Boże, co to? Co się dzieje? Słyszę wyraźnie. I ten świszczący oddech. Rozglądam się nerwowo. Nic. Tylko śmieci. I duszny, oblepiający półmrok. Nie wiem co robić. Nie mogę jednak tak stać. Muszę coś zrobić. Tylko co? Cokolwiek. Ruszam. Gdzieś musi być wyjście. Nie chcę tu być. Omijam metalową, błękitną ściankę regału. Ściskam coraz mocniej broń. Boję się! Coś koło mnie cały czas się porusza. Nie zwracam na to uwagi. Szelest gazet. Tuż za mną. Blisko. Nie odwracam się. Muszę się stąd wydostać. Chcę biec. Nie mogę! Strach! Strach mnie sparaliżował. Muszę iść! Muszę uciec! O Boże! Nie chcę by to coś mnie dopadło. Idę. Zmuszam odrętwiałe nogi do wysiłku. Jeszcze żyję. To dobry znak. Jeszcze żyję. Muszę tylko się stąd wydostać. Dochodzę do przejścia. Widzę drzwi! Drewniane, białe z łuszczącą się farbą. Skręcam i ruszam w ich stronę. Odwracam się jeszcze tylko gotów zobaczyć mającego rzucić się na mnie stwora. . . I widzę człowieka. Wysokiego, potężnego, o śniadej twarzy. Stoi w drugim końcu regałów. Ubrany jest w jakiś rodzaj munduru czy może skafandra. Ja mam na sobie chyba taki sam. Tamten w dłoniach dzierży karabin. Zwykły, głośny karabin prochowy. To Sebastian! Znam go. To mój przyjaciel. Jest łowcą. Tak jak ja. Ale na co polujemy? Patrzę na niego. Na jego twarzy maluje się skupienie. Nie boi się. Jest dużo bardziej doświadczony niż ja. Powoli, cicho znika za kolejnym regałem. Nakazuje gestem bym zrobił to samo ze swojej strony. Muszę to zrobić. Nie mogę go zawieść. Nie mogę go narażać. On mi ufa. Ale tak bardzo się boję. Coś krąży między nami. Głośno oddycha. Musimy to zlikwidować. Mijam regał tak jak Sebastian. Coś puknęło żarówkę. Rozbijała się. RzUCA szalone cienie. Widzę Sebastiana. Stoi naprzeciw. Coś mi pokazuje. Nie widzę, co! To światło! Raz kąpie go w bladej żółci, by po chwili zalać smołą nieprzeniknionej ciemności. Co on mi pokazuje? Wykonuje jakieś gwałtowne ruchy. Boże! Co!? Nie widzę! Nie widzę! Nie mogę przełknąć śliny. Mam sucho w ustach. Co on mi pokazuje!? Nie mogę wydobyć słowa! Kiwam bezmyślnie głową. Żarówka nagle bąknęła i zgasła. Zdążyłem jeszcze zobaczyć strach. Strach na twarzy Sebastiana! O Boże! Przerazający wizg! Tuż za mną! Słyszę oddech tego czegoś. Głośniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Bliższy! I stukanie pazurów o blachę. Nade mną! Muszę coś zrobić! Uciec! Teraz! Teraz! Muszę się odwrócić. Wpadam na coś. Co jest?! Ściana? Tu? Nie! To nie

ściana. Chwieje się. To musi być gablotaaa! Leci! Przewraca się! A ja z nią! O coś się zahaczyłem! Tracę równowagę! Upadam! I nie zdążę już wstać! Nie zdążę! Broń! Wypadła mi broń! O Boże! O Boże! Zaraz zginę! Będę zupełnie bezbrony. Zaraz zginę! Huk. Coś na mnie runęło. Przygniotło! To stwór! To stwór! To ten przeklęty kriken! Boże, nie pozwól! Zaraz! Zaraz. To nie kriken. To tylko regał. Regał mnie przygniół. W takim razie muszę starać się jakoś dźwignąć. Nic mnie nie boli. Przynajmniej na razie. Muszę się tylko jakoś obrócić. . . Słyszę! Słyszę i czuję na twarzy wilgotny, lepki oddech. Niemal widzę oślizgłe, metaliczne zęby wyszczerzone w dzikim uśmiechu. To już koniec. To już. . . Coś syknęło w drugiej części pomieszczenia. Pokój wypełnia się słabym różowawym światłem. Jest nadzieja! To Sebastian odpalił chemiczną latarkę. Stwór nie reaguje. Widzę go! Widzę go teraz bardzo wyraźnie! Boże. . . Nie mogę nawet drgnąć. . . Kątem oka dostrzegam mojego przyjaciela. Rzucił źródło światła na podłogę i stoi teraz celując w krikena ze swojego karabinu. Skinął głową pokazując mi gdzie poleciała moja broń. On sam tą przestarzałą prochówką nie jest w stanie wyrzucić większej krzywdy krikenowi. Musimy działać razem. Ale nie mogę się nawet ruszyć. Gęsta ślina stwora dotyka i spływa po moim karku. Mięśnie napinają się do granic możliwości sprawiając ból. Nie mogę oddychać. Nie mogę oddychać! A co dopiero działać! Boże! Zawiodę! Zgubię siebie i Sebastiana! Nie pozwól Panie! Nie pozwól! Powietrze przeszywa seria karabinu maszynowego. I przerażający wrzask krikena. Odrzuca go o parę metrów. Teraz! Muszę się podnieść. Muszę dopaść pistoletu. Muszę! O Boże! Ręce, nogi działajcie! Udało się. Zrzucam z siebie gablotę. Wstaję! Widzę pistolet. Jest tak daleko! Muszę zdążyć! Jeszcze tylko dwa metry, może trzy. Dlaczego tak wolno? Przecież biegnę! Dobrze! Dopadam go! Za sobą słyszę kolejną serię z automatu, mającą na celu spowolnić stwora. Odwracam się z pistoletem w rękę. Nie mogę oddychać. Chryste! Jak on jest już blisko! Krwawi. Nie przeszkadza mu to jednak biec w moją stronę! Gęsta ślina kapie z rozwartej paszczy. Jaki on czarny. Jak nicość. . . Przecież nie mogę go zabić. Wszystko to jest bezcelowe. Krikena nie można zabić. . .

– Strzelaj, na Boga! Strzelaj!

Co?! To Sebastian! Krzyczy przerażony. Boże! Kriken mnie zahipnotyzował! Na chwilę, ale to wystarczy. Nie zdążę strzelić i zginę. . . Ręce odmawiają posłuszeństwa. Nie! Nie mogę tu zginąć. Zdążę! Celuję w łeb! Naciskam spust. Nie wypalił! O Boże! Nie był przeładowany. Odrzucam ostatnią komórkę energetyczną przymocowaną do rękojeści. Cofam się najszybciej jak mogę. Za wolno! Kriken mnie dopadnie! Dopadnie mnie! Cofam się! Szybko. Na oślep. Dlaczego nie chcesz się oderwać?! Cofam się! Ściana! Rypnąłem plecami w ścianę! Martwy koniec, jak to mówią. O Boże! Łzy napływają mi do oczu. Widzę niewyraźnie. Szarpnię się z tą pieprzoną silikonową kapsułką. Dlaczego nie

chcesz. . . W końcu! Oderwałem pojemnik z energią! Wbijam go w bok pistoletu. I strzelam. Ciało krikena przeszyte podczas skoku strumieniem światła upada z łomotem na ziemię. Udało się! Nie mogę w to uwierzyć. Udało się.

– Dobra robota – Sebastian lekko się uśmiecha. – Teraz chodźmy zobaczyć, co stało się z lokatorami.

Ruszam bez słowa. Bolą mnie płuca i skronie. Nogi nie mogą unieść mojego ciężaru. Co rusz się uginają. Ale żyję! Na Boga! Żyję! Mijam ścierwo stwora i przechodzę przez białe drzwi, w których przed chwilą zniknął drugi łowca. Jestem szczęśliwy jak nigdy dotąd. Tylko. . . Tylko jedna rzecz mnie dręczy. Skąd się tu wziętem? Nie mogę sobie przypomnieć jak się tu znalazłem, ani co robiłem przedtem. Bardzo dziwne. Będę musiał o tym później porozmawiać z Sebastianem. Teraz jednak musimy zająć się ewentualnymi ocalałymi, jak i poszukać wszelkich rzeczy jakie mogą być dla nas przydatne. Po minięciu schodów prowadzących na piętro i krótkiego korytarzyka znaleźliśmy się w niewielkim salonie. Dziwne. Pokój wydaje mi się znajomy. Tak jakbym już tu kiedyś był. Dawno, dawno temu. Może w dzieciństwie? Naprawdę dziwne uczucie. . . W pomieszczeniu panuje względny porządek, a żyrandol daje dużo więcej światła niż miało to miejsce w magazynie. Na jednej ze ścian stoi długi, ciemny segment. Przeciwległa ściana jest pusta, nie licząc stojącego w rogu kafłowego pieca. Poza tym jest tu sofa, fotele, ławo–stół i odbiornik telewizyjny. Przy solidnie zabitym oknie, w wielkiej donicy więdnie jakiś rozłożysty kwiat. Wszystko jest zupełnie zwyczajne i na swoim miejscu. Nie licząc kilku walających się papierów i grubej warstwy kurzu pokrywającej meble, salon wygląda jakby domownicy mieli zaraz wrócić i zająć się swoimi własnymi sprawami. Myślę jednak, że tak się nie stanie. W tej okolicy ludzi wykańczają albo krikeny, albo montegi, albo zaraza. W tej okolicy. . . „Ta okolica” niedługo będzie wszystkim i ani ja, ani żaden inny łowca nic na to nie poradzi. Jesteśmy świadkami agonii rasy ludzkiej. Tak. Ludzkość umrze w krzyku trwogi i bólu. . . Teraz jednak należy skupić się na zadaniu. Sebastian zdążył już przeszukać większość pomieszczenia, zgarnąć trochę leków i amunicji. Teraz stoi przy barku. Bez słowa czeka na moją asystę. Nie trzeba specjalisty, aby domyślić się o co mu chodzi. Mam otworzyć drzwiczki podczas gdy on będzie mnie asekurował karabinem. Chwytam za kluczyk. Przekręcam. Boże. Znowu. Znowu zamieram. Ślina z trudem przepływa mi przez gardło. Zbieram odwagę. Oddycham głęboko. W tym świecie każdy ruch, każda wydawałoby się normalna czynność mogła być twoją ostatnią. Nie było bezpiecznych czynności. Poza bazą nie było wiele bezpiecznych miejsc. Nie było rutynowych akcji. Wszędzie mogła kryć się śmierć. A w tym barku mogło się schować coś wystarczająco dużego by rozszarpać mnie i Sebastiana w mgnieniu oka. O Boże. Daj mi siły. Otwieram. Drzwi same odskakują! Z trzaskiem upadają na podłogę. Zainfekowany! Zainfekowany jest w środku! Serce uderza jak młot. Drzę na widok powykrzywianego mężczyzny. Sebastian celuje, ale nie strzela.

- Już dawno nie żyje.
- Tak – przyznaję mu rację, ale do końca się nie uspokajam.

To jest zainfekowany. Tak naprawdę nawet najbardziej doświadczeni łowcy nie mogli ocenić w stu procentach czy taki jeszcze żyje czy nie. Sebastian nie zastanawiał się nad tym tylko czym prędzej ruszył w stronę wyjścia, nie chcąc ryzykować zarażenia. I ja mam taki zamiar. Kątem oka dostrzegam jednak na półce pod barkiem fiolki novokainy. Są bardzo przydatne. I bardzo cenne. Jest tylko jeden problem. By je sięgnąć muszę zbliżyć się niebezpiecznie blisko do trupa i, co gorsza, schylając się, stracić go z oczu. Patrzę na niego. Próbuję przewiercić go wzrokiem. Jeśli tylko udaje na pewno mnie zaatakuje. Nie musi mnie zranić by mnie zainfekować. Wystarczy, że tylko dotknie. Opluje. I jestem stracony. Ach! Ryzykuję! Podchodzę bliżej. Widzę dokładnie chude, wyniszczone ciało. Widzę zęby pokryte skrzepłą krwią; odkryte przez ściągnięte nienaturalnie wargi. Nie chcę wiedzieć co się tu działo. Czy to żona, czy syn zabili chorego męża, ojca i schowali go w barku. . . A może wrzucili go tam żywego, nawet w obliczu własnej śmierci nie mogąc go zamordować. . . Mam nadzieję, że jednak zabili. Kucam powoli. Wyciągam rękę najdalej jak mogę. Widzę bardzo wyraźnie twarz zainfekowanego. Ten straszny grymas. Już prawie dotykam butelek. Jeszcze tylko trochę niżej. Już, zaraz sięgnę. Zaraz ta okropna twarz nie będzie w moim polu widzenia. Sam nie wiem co wolę. . . Rozlega się dziwny dźwięk! Zainfekowany drgnął gwałtownie i otworzył oczy! Pięć centymetrów przed moimi oczyma! Chryste! Gdzie jest Sebastian?! Nieważne! Łapię fiolki. Odskakuję, jak szybko tylko mogę. Jestem gotowy walczyć, nawet jeśli mam tylko ciąć moim bagnetem. Nic się jednak nie dzieje. To tylko metan! Tylko metan. Nic już tu nie mam do roboty. Wychodzę stąd pośpiesznie. W korytarzu nadziewam się nieoczekiwanie na małego chłopca.

– Sebastian poszedł do piwnicy. – mówi stanowczym głosem. – Ty pójdziesz ze mną na piętro. Chyba jest tam coś żywego.

Niesamowite. To jest dziecko. Ma może dziewięć, góra dziesięć lat. A jednak jest naszym dowódcą. Tak. Przypominam go sobie. Na pewno widziałem go parę razy wcześniej. Nie wiem jednak jak się nazywa. Muszę porozmawiać z Sebastianem, a może i z nim jeśli jest moim przełożonym. Naprawdę coś złego dzieje się ze mną i z moją pamięcią. Odezwę się na ten temat w bazie. Teraz jednak ruszamy. Przechodzimy korytarz i wspinamy się po schodach. Te schody! Znam je! Na pewno wspinałem się po nich wiele razy. Były drewniane, z chyboczącą się poręczą i tak strome, że schodzić musiało się po nich raczej jak po drabinie niż po schodach. Pamiętam je. Pamiętam je doskonale! Tylko skąd? Czy raczej: z kiedy? Boże, co się ze mną dzie. . . Zamieram. Przystaję myśleć o głupotach. Weszliśmy do jednego z pomieszczeń na piętrze. Było duże, ciemne i zagracone. Prawie nic nie widać. Ale za to słychać. Złowrogie

warczenie. Chłopak głośno przełyka ślinę. Kieruje przed siebie swój karabin energetyczny. Ruszamy dalej w głąb pomieszczenia. Chłopiec rozgląda się nerwowo.

– Tu jeszcze nie byłem – mówi, próbując wzrokiem przebić mrok.

Warczenie przechodzi w zjadliwe ujadanie. Dostrzegamy w koncie sali ciemną sylwetkę lśniącego od krwi zwierzęcia. Dowódca wycelował. Zwierzę podrywa się i rusza w naszą stronę. Już ma paść strzał, gdy łapię za rękę trzymającą broń. Istota przebiegła między nami, przemknęła przez schody, korytarz i wybiegła na zewnątrz.

– To tylko pies – rzucam i ruszam za nim.

Czuję niesamowitą więź z tym zwierzęciem. Musiało wiele przeżyć i z niejedną kreaturą walczyć by przetrwać w tym domu. Nie chcę by uciekło. Dowódcę zostawiam na górze. Pokonuję pędem prawie pionowe schody. Szybko. Przez korytarz. Piec? Łóżka? To nie jest korytarz. To mały przechodni pokój. Znam go. Byłem tu wiele razy. Nieważne. Wybiegam na dworze. Na zewnątrz panuje ciemność. Po psie ani śladu. Szkoda. Mimo swej dzielności tu nie przetrwa do świtu. Ktoś w domu zapalił halogen oświetlający podwórko. W oddali błysła zakrwawiona, niegdyś chyba biała sierść psa... Boże, co za widok! Patrzę za zwierzątkiem i widzę ciągnące się pustkowia. Na wszystkie strony od domu nie ma nic prócz brunatnego piasku. Nie ma żadnych roślin, żadnych innych zabudowań. Nic. Jedyne gdzieś tam, na krawędzi światła dogasa wrak samochodu. Odwracam się. Chcę z powrotem wejść do środka. Ten dom... Mały, niski; niestandardowy; sprawiający wrażenie jakby miał zaraz runąć... Ja go znam. Znam ten dom, ten halogen oświetlający podwórko. Bawiłem się tu w dzieciństwie. Jestem tego niemal pewien. Mieszkała tu ciocia Dorota. I moi bracia. I siostra. Boże, co się z nimi stało? Co się stało ze mną? Coś tu nie gra. Tylko co? Nagle rozległ się przeraźliwy, przeciągły krzyk! To nasz dowódca! Zostawiłem go na strychu! A pies nie musiał być jedynym lokatorem! Krzyk urwał się gwałtownie. O Boże! Ruszam do wewnątrz. Nie mogę! Nie mogę się ruszyć! Dziwnie się czuję! Spać. Zimno. Chryste jak zimno! Wszystko wiruje. Wszystko się rozmywa. Ciemność. Skąd ta ciemność? Nie wiem co się dzieje...

Ciemność. Nic nie widzę. Nie, zaraz. Jest jakieś światło. Widzę kształty. Z mroku wyłaniają się meble okryte mrokiem. Strach. Oddycham szybko, głośno. Za głośno. W rękach ściskam energetyczny pistolet z przymocowanym zębatym bagnetem. Pot cieknie po skroniach. Gdzie jestem? Co tu robię? Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Nie może wiedzieć. Jest botem.